



ILUSTROWANY



PRZEGLĄD TYGODNIOWY



Wychodzi w każdą niedzielę
w
Krakowie • Wiedniu • Mor. Ostrawie



Rocznik I.

17. października 1915

Nr. 45.

Redakcja, administracja i ekspedycja
Morawska Ostrawa, ul. Johannyego 5.
Tel. Nr. 163.
Rękopisów się nie zwraca.

Cena numeru 20 halerzy

Prenumerata kwartalna . . K 2:50

Prenumerata półroczna . . K 5:—

Ceny ogłoszeń: Cała strona 100 kor.,
 $\frac{1}{2}$ strony — 50 kor., $\frac{1}{4}$ strony — 25 kor.,
 $\frac{1}{8}$ strony — 12 50 h. i t. d. Przy kilkakrotnem zamieszczeniu wysokie rabaty.



Austryacki lazaret w cerkwi rosyjskiej.

Z wojny.

Nowością tygodnia jest wysłanie przez Rosję ultimatum do Bułgarii. Następstwem ultimatum była zazwyczaj akcja zbrojna; czy Bułgaria miała nie uleknąć się wojny z wielkim kolosem, sekundowanym przez Serbię, Francję, Angię, Włochy, a kto wie czy i nie przez Grecję — to jest pytanie, na które trudno odpowiedzieć. O ile można wnioskować z dotychczasowych rokowań dyplomatycznych Bułgarii, jest ona na ten ewenement przygotowana — ma zaś to przeświadczenie, że na placu boju nie będzie osamotniona i że ona również dozna pomocy militarnej.

Z wystąpieniem Bułgarii akcja zbrojna na półwyspie bałkańskim pójdzie w żywszym tempie, a nie pozostanie to bez wpływu na wypadki wojenne, rozgrywające się pod Dardanellami.

Wystąpienie nowego wojownika na światowym terenie wojennym może wojnę przedłużać, ale również i przyspieszyć jej koniec. Zależne to będzie od rozmaitych okoliczności.

Przypuszczać należy, że plany wojenne Bułgarii opracowane będą w porozumieniu z innymi poważnymi czynnikami; że zaś żołnierz bułgarski jest bitny i waleczny, przeto jak dziś sytuacja nie przedstawia się zbyt groźnie dla Bułgarii, a byłoby to rzeczywiście godne śmiechu, gdyby mała Bułgaria choć w jednej bitwie zmusiła do ucieczki wojska potężnej Rosji, która biorąc w skórę na północy i zachodzie i nie mogąc dać rady sprzymierzonym, pragnie powetować sobie straty i odnieść tryumf nad małą Bułgarią. Różniby jednak Rosji i jej aliantów mogą okazać się błędne. Zbyt wiele wojska nie może Rosja wysłać do Bułgarii, mimo obfitości materiału ludzkiego, gdyż na to nie pozwoli jej sprzymierzeni, którzy zwołała, ale stale ze wszystkich stron postępują naprzód — nie jest zaś wykluczonem, iż w czasie jej zapasów wojennych z Bułgarią, może spotkać ją bardzo dotkliwa katastrofa, która zmusi ją do wycofania się szybkiego z afery bułgarskiej. Alianti zaś Rosji — Francja, Anglia i Włochy — zbyt wiele sił także nie wyślą przeciw Bułgarii — wprawdzie prasa czworoporzeczności pisze o korpusie 150-tysięcznym, ale to niełatwa rzecz zebrać tyle żołnierza potrzebnego w innych stronach.

Skończyła Francja i Anglia, mimo podjętej silnej ofensywy nie mogły posunąć się dalej i Niemcy stoją silną stopą na ziemi francuskiej — to byłoby zbyt gwałtownością z ich strony wysłanie wielkich sił na półwysep bałkański.

Francja, ulegająca stale wykluczeniu się, nie będzie mogła wydobywać z siebie coraz nowych sił, coraz nowych zastępów i nadal będzie musiała posilkować się coraz więcej swymi różnokolorowymi poddankami, którzy w walce z regularnymi armiami, mającymi utrwaloną wojskową organizację, nie będą zbyt wyborowym materiałem wojennym; to samo Anglia, której ludność czuje wstręt do powszechnej służby wojskowej, musi dążyć do tego, aby sła jej na terenie francuskim i belgijskim nie zmniejszała się. Włochy mają podobno zamiar wstrzymać ofensywę przeciwko Austro-Węgrom, aby móc łatwiej wziąć udział w afery bułgarskiej — w ostatniej chwili rozmyśla się może, gdyż taki eksperyment mógłby dla nich być niebezpieczny.

Wprawdzie przeciwko Bułgarii może także oprócz Serbii wystąpić Grecja, mówiąca dotychczas o swej neutralności, a także nieodgadniona Rumunia, o ile zechce się zabawić w grę hazardową, to jednak cała sytuacja wojenna na półwyspie bałkańskim może piorunująco się zmienić, o ile w międzyczasie mieć będzie miejsce rozstrzygająca bitwa na terenie rosyjskim.

Pamiętajmy zaś o tem, że wystąpienie Bułgarii nie jest ostatnim epizodem wojennym, i że może przeżywać będziemy nie tylko dwudziestą czwartą, ale nawet i dwudziestą piątą wojnę.

Z Polski i Litwy.

Bank emisyjny w Warszawie.

Komitet Obywatelski stołecznego miasta Warszawy, za zgodą władz niemieckich, zamierza, jak wiadomo, rozpisać wielką pożyczkę. Interesujące są wywody, które w łączności z tą sprawą zamieszcza „Dziennik Polski” z dnia 27-go września o projekcie Banku emisyjnego w Warszawie. Podajemy je w całości:

Wspominaliśmy kilkakrotnie na innym miejscu, że opuszczenie Warszawy przez naczelną instytucję finansową, za jaką uważaliśmy rosyjski bank państwa, wywołało w obiegu pieniężnym niedomagania i luki, których niewielki dopływ znaków obiegowych niemieckich, a po części austriackich zapłacić nie zdołał. Przeciwnie banknoty państw okupacyjnych zjawiały się w obiegu nie tyle z transakcji wywozowych, ile z zamiary na walutę rosyjską.

W czasach przedwojennych nasz świat handlowy posługiwał się w wysokim, bodajże racjonalnym stopniu t. zw. surogatami pieniężnymi, czyli weksłami, które znacznie zmniejszały potrzebę środków obiegowych i pieniężnych. Dziś jednak, wobec zaprzestania wszelkich transakcji na kredyt, potrzeba gotowizny do obrotów jest większa i nieodzowna.

Poza sferami handlowymi znaleźć się w położeniu niezmiernie trudnem nasz zarząd miejski, który obciążony od b. magistratu w spuściznę środki skromne a obowiązki — wielkie. Te ostatnie pochłaniają surowo ważne, podatki zaś nie zasilają kas zarządu w stopniu ważnym, podatki zaś nie zasilają kas zarządu w stopniu zadawajającym. I tu więc widzimy dotkliwy brak środków obiegowych.

Zagadnienia tej natury były przedmiotem emanacji członków zarządu miejskiego i przedstawicieli banków. W rezultacie postanowiono emisję pożyczki miejskiej i ewentualnie bonów. Sfinansowanie tych operacji wzięły podobno na siebie banki warszawskie.

Jednocześnie na skutek narad przedstawicieli banków berlińskich z reprezentantami naszych instytucji kredytowych, powstał projekt banku emisyjnego w Warszawie.

Czy taki bank powstanie i ewentualnie na jakich podstawach gwarancyjnych — nie wiemy, gdyż sora była w ostatecznej formie, jak nas objaśnił jeden z dyrektorów bankowych nie jest przesądzoną. Nie wiemy również, czy gwarantem projektowanego banku emisyjnego powstanie u nas na miejscu, czy przyjdzie z zewnątrz, czy będzie w zgodzie z konwencją haską i czy ustawa banku będzie potwierdzona przez przyszły traktat pokojowy. Musimy jednak zgodzić się na dwie alternatywy: albo będzie to instytucja, mająca koncesję na podstawie swoich mniejszych, ale płynnych aktywów na wypuszczenie banknotów w ra-

dzaju kursujących u nas „Darlehenskassenscheinów“, lub też powstanie bank, mający absolutne zabezpieczenie. Tertium non datur.

Odezwa niemiecka z Wilna.

Do ludności miasta Wilna!

Niemieckie siły zbrojne wygnały wojsko rosyjskie z obszaru polskiego miasta Wilna i wkroczyły do tego sławetnego i pełnego tradycji grodu.

Był on zawsze perłą w sławnym Królestwie Polskim. Królestwo to zaprzyjaźnione jest z narodem niemieckim. Wojsko niemieckie gorąco współczuje z ludnością polską, wystawioną na takie ciężkie próby.

Z oburzeniem spogląda wojsko niemieckie na brutalne i haniebne czyny, dokonywane w imieniu władzy rosyjskiej nad ludnością cierpiącą i jej mieniem. Konieczne jest podać do wiadomości powszechnej, że wsi płonące dokoła oświetlają czyny rosyjskie. Siły zbrojne niemieckie pragną dolożyć starań ku ulżeniu ludności polskiej ciężarów narzuconej im wojny. Tak też i w Wilnie. Zajęcie powszednie i wszelka praca spokojna ludności znajdują poparcie. Dbłość o bezpieczeństwo i piecza o porządek i spokój w mieście, powinny pozostać w doświadczonych rękach dotychczasowej zwierzchności miejskiej.

Jedynie w razie zakłóceń porządku, których nie będzie w możności ta zwierzchność opanować, będą uważać się za zmuszonego do udzielenia pomocy zbrojnej.

Oczekujemy od zamilowania do porządku i spokoju obywateli miasta Wilna, że nie przedsięwzięją niczego przeciwko władzy wojskowej niemieckiej i jej poszczególnym przedstawicielom. Ustawy wojenne grożą za czyny podobne ciężkimi karami, do kary śmierci włącznie. Pragnąlibyśmy w Wilnie władzy karnej nie stosować.

Niech Bóg błogosławi Polskę.

Hrabia Pfeil.

Wilno, 18. września 1915 r.

Afera w Sosnowcu.

Kilka miesięcy temu, na jednym z posiedzeń już dawno rozwiązanej Rady miejskiej m. Sosnowca, przy omawianiu sprawy szkoły realnej, której uczniowie wówczas strejkowali, jeden z radców miejskich podniósł drażliwą kwestję personelu nauczycielskiego i stosunków w tej szkole.

Uczniowie domagali się w sposób stanowczy zasadniczych zmian w programie wykładowym. Kością niezgody było domaganie się ze strony uczniów — polskiego języka wykładowego dla wszystkich przedmiotów; młodzież solidarnie przedstawiła swoje życzenia dyrekcji w formie jak najprzystojniejszej petycji, motywując takie stanowisko prosto i logicznie: jesteśmy Polakami, mamy zatem prawo do ojczystego języka. Nałóżono oczekiwać, iż ówczesny dyrektor szkoły realnej, pastor Uthke, słusznym warunkom uczniów zadość uczyni. Petentom jednak dano odpowiedź nadspodziewanie wyrażną, że są uczniami rosyjskiej rządowej szkoły, a na zmiany programowe, względnie ustępstwa na rzecz języka polskiego dyrekcja nie pozwoli.

Stanowisko dyrektora w rzeczonej sprawie gorąco popierali nauczyciele A. K. i B. M. Z licznych i wiarygodnych zeznań uczniów, grono zainteresowanych osób dowiedziało się, iż trzech wymienionych pa-

nowie zwracali się w czasie strejku do uczniów z kategorycznym wyjaśnieniem, iż ci, przemawiając w ich obecności w klasie i w czasie pauzy po polsku, ubliżają powadze szkoły i jej nauczycielom. Żądał usilnie, aby do nich w obrębie szkoły po polsku nie mówić.

Ten ostatni motyw zniewolił właśnie pewnego radcę miejskiego na wspomnianym wyżaj plenarzem posiedzeniu Rady miejskiej do publicznego napiętnowania rusyfikatorskich pedagogów, zachowujących się w stosunku do ludności polskiej prowokacyjnie.

Szkola realna, rozsądnik rusyfikacyjny, już dawno przestała istnieć. Strejkującą młodzieżą zajęły się zarządy szkół handlowych w Będzinie i Sosnowcu.

Atoli z kronikarskich notatek pisemka sosnowickiego dowiadujemy się, iż w Sosnowcu powstała nowa szkoła realna z „programem poprzednim, lecz wykładowym językiem polskim“. Oczywiście wywiesza się modny szyldzik reklamowy „z językiem wykładowym polskim“. Do personelu nauczycielskiego nowej „polskiej“ szkoły należą owi wspomniani trzej panowie.

Przy nowej szkole realnej została utworzona rada pedagogiczna i rada opiekuńcza, w skład której wchodzi kilka znanych osobistości. Czyniąc z siebie kół tych rad, angażując swoje nazwisko w ten przedsięwzięcie, nie miał możności sprawdzić wartości moralnej owych 3 pedagogów? Sądziwszy, że rada opiekuńcza, w dobre zrozumianym własnym interesie, usunie to zło, które razi, jeżeli chce brać na siebie odpowiedzialność za oddaną jej pieczę młodzież?

Pierwszym warunkiem należytego funkcjonowania szkoły realnej jest natychmiastowe usunięcie nieodpowiednich i skompromitowanych osób.

Drugim warunkiem będzie zastosowanie się do wskazań Warszawskiego Wydziału Oświecenia, to jest zupełne usunięcie języka rosyjskiego, jako osobnego przedmiotu.

Drobne wiadomości.

Otwarcie uniwersytetu i politechniki w Warszawie. „Dziennik Polski“ donosi ze źródła kompetentnego, że trudności, które połączone były z otwarciem uniwersytetu i politechniki warszawskiej, zostały usunięte, tak, że rozpoczęcie nauki w tych uczelniach rozpocznie się już w początkach listopada.

Teatr niemiecki w Warszawie. „Gazeta Poranna“ donosi, że w Warszawie ma powstać teatr niemiecki. Przedsiębiorca Weisfeld zwrócił się do władz niemieckich o wydanie mu na to pozwolenia.

„Frankfurter Zeitung“ donosi z Poznania, iż zastępcą prezydenta policji w Warszawie został mianowany adwokat poznański, Jraczewski.

Nadzór nad szkołami. Inspektor szkolny Daczko z Tucholi powołany został na inspektora szkół warszawskich.

Cenzura. Dla pism warszawskich zaprowadzona została obecnie cenzura prewencyjna, czyli że pisma winne być odtąd przysyłane cenzurze przed wyjściem numerów.

Splątowane forty. Władze niemieckie zgodziły się na splątowanie dwóch fortów Aleksego i Włodzimierza przy kolei nadwiślańskiej. Zarząd miasta zamierza urządzić tam park publiczny, co zapewni pracę dość znacznej liczbie robotników. Postanowiono też splantować place w Kole, poprzednio przeznaczone na łącznie.

Trzecie pismo żargonowe zaczęło wychodzić w Warszawie p. t. „Warszauer Tageblatt“. Jako redaktor i wydawca figuruje Lejzor Kahan, poprzednio wydawca łódzkie-



Ratusz w Tarnobrzegu.

go »Lodzer Volksblatt«. W ogłoszeniu redakcyjnym czytamy, że pismo to będzie redagowane w »czystym, jasnym i dla wszystkich zrozumiałym języku«.

Emigracja ludności robotniczej. Biuro pośrednictwa pracy, Dojazd 9, w ciągu ubiegłego tygodnia wysłało 104 osób do fabryk niemieckich i 57 do kopalń niemieckich, razem 161 osób.

Ogółem dotychczas wysłano za granicę za pośrednictwem tegoż biura 4.780 osób.

Przeniesienie gubernii z Kielc do Lublina. Z wojennej kwatery prasowej donoszą: C. i k. generalna gubernia wojskowa w Polsce przeniosła miejsce swego urzędowania z Kielc do Lublina.

W administracji niemieckiej w Królestwie. Pisma poznańskie donoszą: Do administracji cywilnej w Królestwie Polskim powołano przewodniczącego partii narodowo-liberalnej w Sejmie saskim, dyrektora sądu ziemiańskiego, Hettnera, i byłego posła parlamentarnego, radcę sądowego dra Heinzego. Podpułkownika v. Treskova z Bydgoszczy mianowano komendantem Wilna. Sędziego Henrychowskiego z Gniezna powołano do administracji cywilnej w Łodzi. Radcę pocztowego Bittlinskiego powołano do urzędu pocztowego w Warszawie.

Odbudowa mostu ks. Józefa Poniatowskiego w Warszawie. Pisma warszawskie donoszą: Firma Rudzki oświadczyła wobec zarządu miasta Warszawy gotowość odbudowania mostu ks. Józefa kosztem 1.000.000 rubli. Według obliczenia firmy, sam koszt usunięcia filarów i tragarzy wyniesie 150.000 rubli.

Przyłączenie przedmieść. Do sprawy przyłączenia przedmieść wyłonioną została specjalna komisja, do której, pod przewodnictwem radcy prawnego p. Władysława Kasprzyckiego weszli: z ramienia Rady miejskiej p. Edward Zienkowski i z ramienia Komitetu obywatelskiego p. Henryk Konic, którzy wraz z delegatami przedmieść odbywają w tej ważnej dla miasta i jego okolic sprawie narady.

Ponieważ zasadniczo zdecydowanie tej sprawy zależy w pewnym stopniu od władz niemieckich, na razie do czasu urzędowego jej uregulowania postanowiono przyjąć przedmieścia pod opiekę Komitetu obywatelskiego m. Warszawy i zrównać je ze stolicą pod względem zarządzeń sanitarnych, bezpieczeństwa publicznego, zaprowiantowania i opieki filantropijno-społecznej. W tym celu w Komitecie obywatelskim miasta Warszawy ześrodkowane być mają

sprawy przedmieść, dotyczące stanu zdrowotnego, straży obywatelskiej, dostarczania chleba i pomocy filantropijnej, do których reformowania kooptowani będą w poszczególnych sekcjach Komitetu przedstawiciele przedmieść.

W ten sposób pod opiekunice skrzydła stołecznej organizacji obywatelskiej, przybywa około 250.000 ludności przedmieść.

Niezależnie od takiego prowizorycznego załatwienia tej sprawy, komisja, pod przewodnictwem radcy Kasprzyckiego, zbiera materiały dotyczące strony faktycznej podjętego projektu Wielkiej Warszawy celem prawnego jego rozstrzygnięcia. Sprawa cała znajduje się na dobrej drodze.

Przy ostatecznym jej rozstrzygnięciu przeprowadzona zostanie sprawa uregulowania granic, a raczej zaokrąglenie ich, gdzie tego wzgląd na przyszły rozwój Wielkiej Warszawy będzie wymagał. Pierwotny plan Wielkiej Warszawy o tyle dziś uległ może zmianie, że po faktycznym objęciu granicami miasta terytorium osadniczego miejskiego (zabudowanego i zamieszkałego przez ludność związaną z miastem) można będzie według wszelkiego prawdopodobieństwa zaokrąglić zygawkową linię graniczną przez przyłączenie do niej terytorium, dawniej nietykalnych ze względu na zastrzeżenia władz wojskowych rosyjskich, które w pewnych kierunkach tamowały naturalny rozwój przedmieść i samej Warszawy.

Liga pomocy szkolnej. W gronie osób, zajmujących się pracą oświatową, powzięto myśl założenia »Ligi pomocy szkolnej«, która weźmie sobie za zadanie organizację podobnych prywatnych małych kompletów dzieci dla nauki szkolnej. Szereg płatnych nauczycielek »Ligi pomocy szkolnej« będzie udzielać dzieciom nauki. W ten sposób zapobiegnie się brakom, wynikającym z niedostatecznej ilości szkół miejskich, których w Warszawie jest 142.

Wiadomości z Wilna. »Riecz« donosi, że ze wszystkich kościołów w Wilnie zdjęli Moskale dzwony, nie oszczędzając nawet wysoce pamiątkowych dzwonów z Ostrej Bramy. Są to w swoim rodzaju kolosy. Jeden z nich waży 623, drugi 450 funtów. — Uciekając, zabrali ze sobą Rosyjanie pomniki Puszkina, Katarzyny II., Murawiewa i inne. — Wszystkie pisma rosyjskie przestały wychodzić. W miejsce »Kurjera Litewskiego« jest wydawany »Maly Kuryer«. — Wskutek ogromnej ilości zbiegów, właściciele furmanek robili doskonale interesy. Za furmankę z Wilna do Mińska płacono 160 do 250 rubli.



Oficerowie austriaccy na pasterunku obserwacyjnym na Wołyniu

Na starym gruncie.

Powieść

przez

M. Febroniusza.

19)

To ona, p. prezesowa, wyglądała bardzo dobrze gdy z pomocą ramienia p. Romana wydostała się z powozu i stanęła przed otwartą bramą, wiodącą do trościenickiego kościoła. Chór dziadów, widząc ją w całej wspaniałości surowych fułarów z mnożstwem modnych węzłów i koronek, ozwał się pobożnym jękiem o grosze, obiecując wyprosić jej za to wszystkie łaski Boga, aż do korony niebieskiej, gdy ona tymczasem spojrzała przez bramę ku kościołowi wiodącą i ujrzała po za nią p. Różę, która przy rozdawaniu jałmużny zatrzymana, była ledwie na pół drogi do miejsca, na pół drogi do ich wspólnego celu, tak, że idąc musiały się spotkać ze sobą i dla prezesowej było to coś, jak zobaczenie bardzo przykrych maty. Mogła była dla uniknięcia niemiłego jej, szczególnie w obecnej chwili spotkania, zatrzymać się i rzucić garść miedziaków proszącemu biedactwu, aby było pozwoliło p. Różę wejść spokojnie do kościoła, i znać zły tam jakie miejsce poboczne, klęknąć i modlić się tak może że oczy tych dwóch sąsiadek nie byłyby spotkały się nawet z sobą, a'e p. prezesowa nie należała do rzędu osób, które wolą ciszej, niż głośniejsze przesuwają się przez pewne przesmyki życia. Nie... ją na widok tej biednej słowoluskiej kobiety, w wyświeconej, zrudziałej mantyli starej, zjął gniew, który podnieciło może i uczucie jakiegoś pomieszania.

— Trzeba raz skończyć z tą nedorzeczną dwuznacznością — rzekła sobie nagle i zwróciła się do Wandy:

— Viens, fillette... — zawołała niby w szczególnej dobrym humorze i wzięła ją krótko pod rękę.

— Pan będziesz tworzył straż tylną — dodała z uśmiechem, zwracając się do p. Romana. — Powiem panu mam parasolkę.

Przekroczyła bramę, trzymając mocno Wandę, która też poznała p. Michałową. Szła ona dość powoli; nie była tu już dawno i używała niejako widoku, którego pragnęła. Wszystko było jej tu miłe, jak zwykle



Cerkiew rosyjska w okolicy Dubna, służąca obecnie jako magazyn żywności.

miejsca dobrze znajome, a nieogładane już czas jakiś.

Zbliżała się właśnie do drzwi kościelnych, szeroko otwartych i ukazujących wewnątrz kościoła pełne ludzi, ukazujących w głębi ostatniej wielki ołtarz, cały jaśniejący od światła zapalonego, bo ksiądz miał się właśnie ukazać. Chłopiec w białej komeszcze i dzwigający mszał, już się wysunął z zakręsty i stał dumnie wyczekując minuty, gdy miał położyć się za sznur od dzwonka przy drzwiach zawieszonym i, oznajmivszy wejście kapłana, posunąć się za nim. Pani Róża objęła to wszystko okiem, którego spojrzenie zawisło pobożnie na gorejącym od światła ołtarzu i już zaczęła modlić się wzrokiem, gdy naraz uczuła, że się ktoś ostro i szorstko koło niej ociera, mija ją, nie obeszawszy się nawet i nagle ujrzała prezesową, która prowadziła obok siebie Wandę i wciągnęła ją natychmiast we drzwi kościoła.

Pardon, — ozwał się teraz poza nią głos, niby grzeczny, przecież pan z małą składaną parasolką kobiecą w ręku, też niebardzo grzecznie, bo dość niecierpliwie ją wyminął, aby pospieszyć za uchodzącymi mu w tłum paniem.

Pani Róża czuła niewymowny żal i smutek w sercu, nie z tego już powodu, że ją, ludogo, w wyszarżanej suknie odziana, ludzie, którzy jest śpieszno, potrącają ją po drodze. Ją potrąciła dawna i bliska znajoma, a potrąciła dlatego, że zawadzała jej nie na tej tylko drdze, na której przy dobrej woli mogły się być spokojnie wyminąć.

Wiedziała, że w niej spychano gniewnie co innego: pamięć jej dalekiego syna, która przeszkadzała.

Usiłowała nie rozplakać się z żalą, z gorczyż, z uczucia opuszczenia w starości swej samotnej, i zdołała wymódlć to na sobie. Cofnęła się nawet od tych wielkich drzwi, przez które byłaby przeszła jeszcze przed chwilą, jakoś uroczyście, świątecznie, mając przed sobą ołtarz tak palący blaskami jasnymi, jak gdyby to był przedśionek tego Pana, do którego ona cisnęła się ze swą prośbą. Poszła pokornie poszukać bocznego wejścia, pokornie się niem wsunęła, swa kobiecina w starej mantylowej mantyli, której (dziwnem jest to białe serce ludzkie!) zaczęła się nagle wstydyć.



Sztab Eksc. Heidebrecka na Wołyniu.

Raz pierwszy dgarnęła ją to uczucie smutne; raz pierwszy od czasu jej biedy, jej zubożenia, zawstydziła go się, jak winy. Zachwiała się w niej coś — w niej, biedaczce poniżonej!..

Ale łaskawym trafem losu, zaraz przy owych bocznych drzwiach, któremi weszła, poznała ją baba jakas, uczciwa baba wiejska, i pchnąwszy kułakiem parobków, których plecy nur przed idącą czyniły, krzyknęła im do ucha, aby puścili panią z Rudawicy.

— Tam, pod amboną, jest jak raz ławeczka pusta i niech tam wielmożna pani s'ada... — objaśniła ją — Posesorka z Krzyżan tylko-co ztamtąd wyszła i jeszcze nikt nie wlażł.. Niechno wielmożna pani ino idzie, bo się tam kto wtłoczy.

Ludzie ją znali — i ją i jej biedę, i jej dobroć dla swego ludu, więc chętnie śpieszono jej z posługą. Nietylko ów stary kupiec z miasteczka nazywał ją imością, którą do rany przyłożyć można: jej słodka natura dobrej kobiety przykładła się do niej jednej rany ludzkiej, a nigdy nie rozjątrzyła żadnej: nigdy nie posypała jej żrącym żarem pogardy człowieka i zyskała też sobie serca tej rzeszy ubogiej, która dotrzymać jej może najwierniej przyjaźni swej uczciwej. Przytem każdy co zna wieś i lud wiejski, wie to doskonale, jak chłop czuje litość szczerą i nieklamana nad losem podupadłego, zubożonego szlachcica, takiego zwłaszcza, o którym się mówi, że jest pan z panów. Zachwawcą on jest, arystokratą na swój sposób: nowych ludzi nie lubi, mało im ufa, drwi szczególnie, gdy chcą dać dumnie.

Widziła go — mówi — podrzeźniając ruchy wyniosłe i jest to rys charakteru ludowego ogólny, powtarzający się wszędzie i niezawsze nawet drugie pokolenie świeżo zubożonych wkupi się w łaskę ludu wiejskiego. Pokrzywdzony, lub w ludzkiej swej godności urażony przez szlachcica, spał on go, miścić się na nim będzie nieraz okrutnie, a'e to co innego: rachunek inny między swoimi. Spekulant z miasta, zaproszony propinator i tym podobny człowiek, jest mu solą w oku i czuje się upokorzonym, skoro musi mu ulegać, gdy szlachcic wczoraj zagonowy, który dziś do koła fortuny się dorwał, już sobie aprobatę jego zgłasza, jeżeli tylko majątek ów został zarobiony uczciwie i bez krzywdy ludzkiej. A ponieważ panów na oślaczala więc ich sympatya ogólna. Nie wylęczało to wypasania im łąk i rozbierania pólów gdzie się dało, niemiłosiernego cięcia lasów, a'e to co innego: w wieśniaku pokutuje jeszcze jakieś komunistyczne pojęcie starego opo'a, które przedstawia im wieś i ta poczciwa baba, która się na opiekunkę p. Róży obrała, nie była wcale wyjątkowo uczuciową osobą.

A zginięcie tam ludzi, niech wielmożną panią pod amboną przepuszczą — dodała parobkom, od których rozpoczęła pierwsze torowanie drogi dla pani rudawickiej — zginięcie tam... — i tak poszło aż do końca. Ten, co stał w tyle, mówił to tym, co byli na przodzie, a ci, co to usłyszeli, powtarzali jak hasło, aż się pani Róża do małej ławeczki pod amboną dostała bezpiecznie. Właśnie kroczył do niej ktoś, jakiś wójt z okolicy, ale zobaczywszy p. Michałową, cofnął się i tylko jej jeszcze drzwiczki na haczyk zewnątrz zamknęte otworzył, bo wysoki był i łatwiej mu to przyszło.

Ona siadła, jak biedna gołębicą strudzona, podniosła oczy na ołtarz i poczęła się skarżyć Bogu; że już jej bardzo ciężko, bardzo ciężko na świecie bez oparcia, bez podpory...

Nie wiedziała prawie, jak i kiedy woława odprawioną została. Gdy ludzie zaczęli się podnosić na ewangelię ostatnią, wstała i ona: podniosła oczy przed chwilą na książkę do nabożeństwa spuszczone, gdy wtem spostrzegła zbliżającą się ku sobie p. Wandę. Szła środkiem kościoła, śliczna, choć nieco błada i uśmiechnęła się do niej miłym, słodkim uśmiechem, aż dostawszy się do ławeczki, schyliła się i pocałowała rękę, którą p. Michałowa na drzwiczkach ławki właśnie oparła.

Ręka była uwolniona z rękawiczki i ona, pochylając się, przycisnęła do niej piękne swe usta, do pąk róży podobne — purpurowe, a w tej chwili bardzo gorące. Pocałowały one rękę starej matki drogiego jej człowieka pocałunkiem córki i nie wiedząc do tego nie dodając, prócz spojrzenia miłości pełnego, p. Wanda zawróciła się w tył, i po tem tklivem powitaniu poszła tak, jak przyszła, przeprowadzona oczyma tłumem, który patrzył ciekawie.

— A to ją czei, jak matuś rodzoną — mówiły dziewczęta wiejskie, łokciami się trącąc.

— A to uczciwa i wierna panna — powtarzał jakitaki między wyższą, już nieco sferą dworskich i drobnej szlachty, która tu zaludnia niemal pół powiatu.

— Viens — rzekła jej sucho p. prezesowa, która przez ten czas już wytłomaczyła p. Romanowi, kto to jest ta siwa imość w ławeczce pod amboną.

— Sąsiadka nasza, zubożała i bezdzietna, którą się Wandziunia z prawdziwie chrześcijańską miłością bliźniego zajmuje — mówiła, usiłując nadać głosowi swemu ton miodowo słodki.

Prezesowa zaprosiła p. Romana do Porzecza na obiad, więc odesłał konie do domu i zajął miejsce w jej powozie na przodzie. Był w dobrym humorze, był wesoły i rozmowny, widocznie zaczynał być już za-kochanym i czuł się zadowolonym, że znajduje się obok Wandy, że ją ma na przeciwko siebie, choć ona milczała niemal całą drogę. Ale nie widać było na niej żadnego wzruszenia; przeciwnie, była jakaś spokojna — spokojna i poważna, co dawało jej pewną fizjognomię nową, nową i niezwykle wdzięk. P. Roman zdawał się ulegać jej urokowi, oczy jego nie opuszczały jej, lecz ona przyjmowała i to spokojnie. Gdy mówił do niej wręcz, odpowiadała mu łagodnie i taką została, powróciwszy już do domu. Prezesowa lękała się czegoś wręcz przeciwnego. Po tem, co zaszło w kościele, lękała się ze strony Wandy bolesnego rozdrażnienia, rozżalenia ciężkiego i dziwiła się, że go nie znajduje. Wanda wyzwała ją niejako, idąc pod oczyma całego tłumu całować rękę Róży; lecz ona, rozgniewana w najwyższym stopniu, nazywając to zachwalstwem i manifestacją, mniej była tem zadziwioną, niż nagłym spokojem i łagodną cichością Wandy.

— Pomiarkowała się — mówiła sobie i była rada ze zwycięstwa. Przygadyła się też p. Romanowi, jak-gdyby wiedziała go po raz pierwszy i obserwację zakończyła uwagą, że jest bardzo przystojny i elegancki — że jest panicz, co też mogło się przyłożyć do zmiany, którą nazywała w Wandzie rozumem i poczuciem się do obowiązku.

Nie myślała o tem, a może nie знаła tego stanu ducha, że postanowienie, powzięte już ostatecznie, daje ludziom uciszenie się w sobie i spokój, jak gdyby przybicia już do portu. Póki namyślamy się jeszcze,

pcy rwiemy się w sobie niespokojnie; serce jeszcze się targuje, lęka się, argumentuje ze sobą, a'e gdy raz zapadnie wyrok, byle tylko był szczerym i niepowierzchnownie powzięty na odczepkę bijącym się w nas myśsom, następuje spokój. Może to być rozstanie się z nadzieją szczęścia; może to być ukazująca się nam przed oczyma droga życia pusta i samotna, którą mamy już iść aż do końca i wtedy możemy się stać ścieraniem smutnymi, a'e stajemy się mianem to spokojnymi.

Gdy p. Wanda wróciła w kościele do ławki p. przezsowej, miała na twarzy rumieniec gorący, oczy jej błyszczały, postać cała tętniła wzruszeniem krwi, silnie pulsującej w żyłach. Choć już ciotka wyszła z ławki i stała tylko obok z p. Romanem, oczekując na nią, ona weszła tam jeszcze, przyklękła, schyliła głowę, jak ktoś, który modli się z wielkiem skupieniem ducha — a'e trwało to bardzo niedługo, ledwo minut parę. Bo modlitwa była krótką:

Ojcze niebieski — mówiła w sobie — ja sierota, nie mająca na ziemi nikogo do pomocy i rady, oddaję się pod Twą opiekę. Los mnie postawił między dwoma obowiązkiem i muszę złamać jeden, a'e Ty widzisz, że nie z egoizmu i nie z samowoli. Musiałam wybierać i teraz wolam do Ciebie — wspieraj mnie!

Podniosła się, spojrzała ku górze, nie na ołtarz nawet, a'e wyżej, pod strop, już będący ponad nią, jak-gdyby tam kiedyś szukała Boga oczyma, w których perliła się łezka. Spojrzała, ołtarz szybko tę perełkę, aby nie spadła na pokaz wzroku ludzkiego i wyszła z ławki — spokojna.

Szybko rozrządziła swoim losem: pod silnem uderzeniem serca, a'e niezawsze namysł długi przynosi radę najlepszą. Szła, szła po ścieżce długiej, a wazkiej, aż doszła do jej kresu i zwrócić się gdzieś musiała, a gdy to nastąpiło, weszła jej w serce uspokojenie. Rumieniec, któremi pałały jej lica, zniknął; oczy, błyszczące jak gwiazdy, przysłoniły się powiekami. Odpoczywała po wysiłku odbytym, a uczucie, że zrobić już to może, usposobiło ją łagodnie. Łagodnym był jej głos, gdy opowiadała p. Romanowi, łagodnym był nawet, gdy mówiła do ciotki. Mało jadła, mało mówiła, a'e tak wyglądała tylko, jak gdyby po wycieczce porannej zmęczona była trochę.

Przecież, gdy w jakiś czas po obiedzie p. Roman prosił ją, aby śpiewała, odmówiła mu. Odmówiła z pewną stanowczością. Gdy, prosząc jeszcze, chciał ją wziąć za rękę, cofnęła ją. Nie zarumieniła się ani trochę, a'e rękę cofnęła. I wtedy nie przestała być spokojną, ale twarz miała jeszcze poważniejszą. Ciotki nie było między nimi, wyszła może umyślnie, aby ich zostawić we dwoje tylko, a było to już około szóstej godziny popołudniu. Drzwi na balkon ogrodowy stały szeroko otwarte; powietrze było już nie gorące, ale bardzo ciepłe i wraz z niem płynęły do pokoju wonie kwiatów, których było przed balkonem właśnie mnóstwo wielkie. Ptaki nie rozpoczęły jeszcze przedwieczornego świergotu, była w kolo ta jeszcze zwykła cisza dni letnich, dzięki której, głos śpiewającej byłby się rozlegał bardzo dźwięcznie, ale ona odmówiła.

Przepraszam pana — rzekła a'e nie jestem usposobiona do śpiewu.

I rękę cofnęła. Nie była widać usposobioną i do tego, aby spoczęła ona w łtoni p. Romana.

Dlaczego? — zapytał niehorak zawiedzony. — Nie czujesz się pani przy głosie w taki piękny dzień?

— Tak — odparła i wyszła na ganek, a naturalnie i on za nią. Chciałby był zapytać: d'aczego nie czuje się i na chęci, aby jej ręka dotknęła jego ręki, aby spoczęła w niej na jeden uścisk, a'e byłyby to już wyraźne oświadczenia, których jeszcze nie chciał. Już zaczynał tak kochać, że nie umiał się już trzymać na moonej wodzy, że się zdradzał ciągle, ale nie przestał jeszcze spokojnie na to, że miłość zwyciężyć może rachubę, a przynajmniej zdradzić się, pomimo rachuby. — Pani na mnie nie łaskawa — rzekł jej na balkonie, stojąc przy niej. Pochylił się ku niej lekko.

O! nie — odparła Wanda z prostotą — nie mam nic przeciwko panu i d'aczego miałaby być niełaskawą?

A'ciwła prawdę. Ten człowiek nie zrobił jej nic złego. Złe, jakie ją mogło spotkać z jego powodu, nie było jego winą. Był niedawnym przybyszem w ołtocy, nie znał wcale stosunków i zapewne nie wiedział jej historii, bo nieraz w rozmowie okazywało się, że wogóle nie zna historii sąsiedzkiej. Nie mogłogo obwinać, a to usposobienie łagodne przyszło jej głównie z chwili, gdy go się już i obawiać przestała. Miała teraz pewność, że potrafi dać sobie radę, a nie było w niej tej małoduszności, aby się gniewać na niewinne zawady na drodze jej życia. Kanienie różne muszą się znajdować na drogach ludzkich, a d'aczegożby ona miała być tak wyborna przez los, aby nie zetknąć się nigdy z nemi? Ludzie padają o nie nieraz, rozbijają głowę, lub serce, lecz ona już sobie znalazła sposób, aby się z nią tak nie stało. Na kanienie nie gniewa się nigdy człowiek rozsądny, nawet wtedy, kiedy urazi sobie o niego nogę, i jeżeli miała w sercu żal, to do wujenki. Ta znała historię jej życia, znała jego obowiązki i chciała ją doprowadzić do złamania ich, do niej więc odnosiło się ciele uczucie h'ciu, jaki miała w sercu. Na p. Romana nie była n'łaskawą, jak mu powiedziała z wielkim spokojem. — Gdyby nie był miał w sercu tego, co złał b'ę do głowy, byłby spozirzegł, że ten pokój biednej dziewczyny nie wróżył mu nic dobrego, a'e to zazwyczaj narkotykę miłości, którego już doświadczać zaczął, odbierało mu bystrość naturalną, a ona która to spozirzegła, powiedziała sobie, że powinna postąpić z nim uczciwie. Nie mogła mu powiedzieć:

— Kochać cię nie mogę... Nie byłabym w stanie pokochać cię i wtedy nawet, gdybym miała serce wolne, ponieważ pomiędzy mną i tobą niema tej n'ci sympatycznej, która serca wiąże...

Byłoby to z jej strony nie tylko ekscentryczną oryginalnością, ktoraby obrażała, więc do urazy doprowadzić mogła, a'e istniał inny, odpowiedniejszy sposób ostrzeżenia człowieka nieświadomego prawdy, że między nią i nim stoi przeszkoda niezwykła.

To postanowiła zrobić, korzystając z chwili, gdy są sami, a na tym balkonie, na którym nieraz stawała tak, jak teraz z nim, jedno obok drugiego z człowiekiem drogim jej jak życie, przyjść jej to mogło łatwiej, niż gdzieś w'ek indziej. Spojrzała przez ukwieconą trawę i w głąb zielonego zacisza i lekko westchnęła.

— Co tu dla mnie jest wspomnień — rzekła głosem, który lekko drżał pod rzeczywistym wzruszeniem tego wszystkiego, co sobie przywołała na myśl co tu jest d'a' mnie wspomnień i słodkich i okrutnych...

— Czyż żyje pani może mieć wspomnienia okrutne? — odparł Roman trochę zadziwiony.



Arc. Karol Franciszek Józef odbywa przegląd wojsk na froncie



Rosyjscy jeńcy pchają samochód przez bagna za Brześciem Litewskim.



Austryacka kawaleria w pogotowiu do ataku pod Trembowlą

Jego stosunki z kobietami były głównie salonowe. Miał dwie siostry, ale te poszły za mąż w czasie, gdy był zagranicą. Odjechał je młodeńmi dziewczętami, wychowanymi podobnie, jak i on, w atmosferze, w której się tak ubiegano o pański sztyk, że serca były wzięte w mocne powijaki i doprowadzone do tego regularnego bicia, które nie popuszcza żadnej ekscentryczności rozmarzania się, upajania się uczuciem. Urobiono je na dwie eleganckie salonowe panny, wydano je za ludzi z podobnej sfery, wyznaczono im posag, oparty na wartości wiosek, położonych w Gostyńskim, gdy jemu, ze względu na nazwisko, przeznaczono dobra dziedziczne rodziny w powiecie Kobryńskim, i brat tak nie rozmawiał z nimi nigdy o żadnych sentymentach, jak nie rozmawiał o nich nigdy z żadną kobietą, która by mu odtworzyła serce szczere i mówiała z nim poważnie. Sam też nie kochał nigdy. W salonie romansował trochę, ale leciuchno; poza salonem bawił się wesoło i raz tylko spotkał pewną Angielkę, która go zajęła więcej i dla której uczuł coś, co byćby się mogło stać miłością, gdyby okoliczności były pozwoliły na to. Panna była trochę oryginalna, ale bardzo szlachetna, mówiła nie raz o uczuciach kobiety żywo i gorąco, przecież nie okazywała mu żadnej takiej sympatii, z której może powstać miłość. Był tylko skłonny pokochać się, a jego życie nie byłoby straciło na tem, gdyby to była nawet miłość, niedoprowadzająca do ołtarza, ale błękitne oczy miss Lydyi patrzyły na niego zupełnie obojętnie, więc iskra miłości nie zapaliła mu się w sercu. Przytem byli ze sobą niedługo, jakieś dni kilka, a on jeszcze wtedy żnić się nie myślał, że zaś nigdy entuzystą nie był, więc czar błękitnych oczu pociągał go za sobą, aby jak motyl krążył koło tej jasności, mogącej opalić mu skrzydła.

Teraz dopiero przyszła na niego ta godzina, bo istnieje ona dla każdego człowieka, który nie jest ślimakiem. Wybija ona nawet dla istot zimnych i egoistycznych i dla tych ludzi bez zapалу, przychodzi ona zwykle późno, tak, jak to było u niego. Dzieje się podobnie i dla pewnych natur bardzo wybrednych; te noszą w duszy ideał miłości, jak jakiś klejnot drogocenny, a jest to dla nich skarb, którego nie mogą oddać łatwo i ci są to najczęściej ludzie nieszczęśliwi, bo kochają raz na życie, a niezawsze dotrzymuje ono o-

bietnic swoich. Przecież nieszczęśliwsiymi jeszcze są pewni entuzjaści o łatwym i żywo wybuchającym zapale, bo ci nawet przy wielkiej szlachetności uczuć mogą zmarnować siłę kochania na ogień fajerwerkowy, a potem smutni i rozżaleni oglądają się z goryczą na życie; ale Wanda nie należała bynajmniej do rzędu tych. Mieściła się raczej w kategorii pierwszej, tylko los dał jej to szczęście, że spotkała się młodo z człowiekiem, który mógł obudzić w niej miłość starcząca na całe życie i zapełniająca całe serce — miłość wierną, miłość przecież skazaną na próby długie i ciężkie.

I tej to kobiety, która nosiła ją w sercu już lat pięć, cicho, żałośnie pogrzebaną, zapytał p. Roman z podziwem: czy w życiu jej mogła się rzyć wspomnienia okrutne? a czy jej zapełniły się nagle łzami. Nie chciała tego, nie życzyła sobie tego — postanowiła tylko powiedzieć mi spokojnie i krótko: że serce jej już wolnem nie jest, że jest już związana słowem tak świętem, jak gdyby wymówiła je na stopniach ołtarza — chciała ostrzedz go jedynie i uchronić od zawodu; ale stało się inaczej. Wzruszona, podniecona może widokiem tego ogrodu, zatopionego w ciszy i w falach ciepłego czerwcowego powietrza, wypowiedziała mu historię miłości swojej żywo, gorąco, czasem tłumiąc łzy, czasem dając się unosić uczuciu. Nie opowiadała długo, ale to właśnie skoncentrowanie się dawało jej słowom siłę wielką.

Pan Roman, zrazu zmieszany i wzruszony do pewnego stopnia, zaczął z wolna doznawać uczucia przykrego, uczucia wielkiej, prawie namiętnej zazdrości.

— Miałas pani słuszość, utrzymując, że w życiu twojem są smutne i niemile wspomnienia — rzekł głosem, w którym usiłował nie okazać doznanego podrażnienia — ale na szczęście jest to już przeszłość i daleka. Nie powinnaś pani przypominać sobie tego, co naturalnie boli cię i zadaje cierpienia.

— Nie przypominam sobie, bom nie zapomniiała nigdy — odparła Wanda z powagą smutną. — To też dla mnie nie jest bynajmniej przeszłością; to teraźniejszość moja.

Pan Roman podniósł głowę z pewną żywością.

— Ach! — rzekł — pani upaszasz się wspomnieniami romantycznie, bo żyjesz na wsi tej zapadłej i bez odpowiedniego otoczenia. To zwykła kara takiego zamknięcia się, odosobnienia takiego...



Ranni żołnierze po walkach pod Łuckiem oczekują na brzegu lasu na podwozy.



Nasze wojska przy budowie mostu na Dniestrze.



Rosyjskie dzieci w obozie naszych wojsk proszą o chleb.



Na granicy Serbii!

— A coż to jest ten świat, który mam w koło? — zapytała, patrząc mu w oczy. — To mój świat naturalny, bom się wśród niego urodziła: to są moje obowiązki i... miłości moje...

— No, tak... — odparł p. Roman, nie chcąc podrażnić wręcz uczuć Wandy, które też mógł być nazwać romantycznymi, bo romantyzmem było u niego wszystko, co się nie wywodziło potrzebą, lub korzyścią materialną — no, tak... Pani pojmujesz bardzo idealnie obowiązki swoje, ale daruj, że ci powiem: nie znasz życia...

— Znam... znam miłość i cierpienie, więc znam życie...

— Z jego stron poetycznych i pozwól mi pani powiedzieć: książkowych. Dużo czytałaś i to głównie autorów naszych, którzy są poniekąd wszyscy sentymentalni...

Wanda patrzyła na niego uważnie i zadała sobie pytanie: czy ten człowiek nie jest twardym egoistą?

Nigdy nie pociągało ją do niego nic szczególnie przychylnego, ale, jak wogóle większość kobiet, które same złemi nie są, nie sądziła go zbyt surowo. Uważała go za jedną z tych natur przeciętnych, które się urągają według wpływów otoczenia i myślała nieraz, że będzie usiłowała oddziaływać na niego, zwłaszcza w kierunku stosunków wsi, do ludu. Widziała, że kilkakrotnie dał dość sutą jałmużnę biednemu, raz nawet w Wilnie ujął ją tem, że, wysypawszy sobie na rękę co miał drobnych w portmonetce, oddał to starej babinie z pewną dobrocią, jak się jej zdawało, choć mógł to być tylko ten wyższy polor dobrego wychowania, który ściiera pewne ostre kany natury ludzkiej i przez który młody panicz, dający jałmużnę w obecności kobiety, nie ciska jej z góry, z pychą takiego

pospolitego synka obywatelskiego, którego maluje siarę przysłowie: „Znaj pana po chołewach”... Pan Roman wysypał sobie pieniądze na rękę dlatego, aby zobaczyć, czy nie za dużo na jałmużnę, a podał je z tą przyzwoitą układnością, do której form nawykł. Kto wie, czy nie byłby minął proszącą staruszkę, gdyby Wanda nie była zatrzymała się, aby jej coś dać. Dał więc i on, dał tak, jak wypadło, a gdy stara, zowaczyszy kilka srebrnych piątków, objęła go za nogi, powiedział jej z pewną niecierpliwością, którą też ogładziło tylko dobre wychowanie:

— No... no... dajcie temu pokój, matko!

Mówił „wy”, mówił „matko”: bo był ze wsi, gdzie wszyscy już, wyjąwszy chyba jakiegoś rozpanoszonego pisarka, tak mówią, lub za młodych lat p. Romana tak mówili do ludzi starych. Obdarowana babina była odziana w suknie wiejskie i jemu pamięć mimowoli do ust przyniosła wyrażenie, do którego nawykł, i tak było z nim w wielu rzeczach. Pewne formy wychowania wypolerowały powierzchnię.

Było też i mimowolne mięknięcie natury jego w obecności kobiety, dla której czuł już od początku coś, jak zapowiedź miłości. Jej obecność sprawiła mu przyjemność i jak są takie zwierzęta, drapieżne nawet, które lubiąc muzykę, łagodnieją przy jej dźwiękach i pozwalają wtedy zbliżyć się bezkarnie do siebie, tak on mięknął do pewnego stopnia w obecności Wandy. Może nawet byłby uległ pewnemu uszlachetniającemu wpływowi kobiety szlachetnej, gdyby jej serce było obdarzyło go wzajemnością. Niejedna ostra i twarda natura egoisty ulepszyła się w ten sposób, podniosła choć trochę nad poziom swój dawny, pod działaniem miłości i Wanda mogła mieć pewne złudzenia względem tego człowieka, przedewszystkiem samotnego, który dotąd przedstawiał jej się tak, że doszła do tej rozmowy — tych zwierzeń, które uważała sobie za obowiązek.

Przerwało je w sam czas zjawienie się prezesowej. Spojrzała na siostrzenicę uważnie i spostrzegła, że rozmowa, na którą zostawiła p. Romanowi blisko godzinę czasu, nie była obojętną i suchą prowadzoną. Wanda miała jeszcze w oczach pewien blask, miała w rysach coś, co zostawia po sobie przebyte wzruszenie, i uwierzyła, jak dobru początkowi. Przypuszczała, a nawet była tego pewną, że Wanda nie zaraz



Dęblin (Iwango).

i niełatwo podda się wpływom, które postanowiła ją obsadzić, ale wierzyła w swoją zręczność. Ta godzina, którą przepędziła samotnie, nie została zmarnowaną. Układała różne projekta, różne sposoby działania na siostrzeniec.

Ponieważ konie p. Romana przyszły właśnie i służący dał mu o tem znać, on powstał, aby się pożegnać. Nie zatrzymywała go, bo była ciekawą, jak pożegna się z nim Wanda i uczuła się tryumfującą, ujrawszy, że podała mu rękę spokojnie i spokojnie, a nawet z pewną dobrocią powiedziała mu:

— Do zobaczenia...

Ostatnie jej spostrzeżenie nad p. Romanem nie było jeszcze ustalonym. To coś, co przy ostatniej wymianie słów zraziło ją więcej w jego wzroku, niż w słowach, wytłumaczyła sobie jej dobroć uczucie zawodu serdecznego. Wiedziała, co to jest kochać i tracić ukochanie swoje, więc pobłażliwą była.

— Do widzenia... — rzekła mu też nie zimnym i nie cierpkim głosem.

Teraz, kiedy już wiedział, że mu wzajemną być nie może, teraz, kiedy już nie narażała go na zawód, mogła go pożegnać dobrotliwie i przyjaźnie.

Pan Roman wracał do domu w bardzo złym humorze. Ukłuty w serce i silnie podrażniony w miłości własnej, mówił sobie, że nie powinien już nigdy wracać do Porzecza, bo panna była źle wychowaną, egzaltowaną, a ów wierny „romans“ z jakimś ubogim szlachetką, obrażał go. Nie było też w niej nic szczerzego, o co byłoby warto łamać sobie głowę... Tylko oczy i figura, tylko trochę więcej dobrego tonu, niż u innych panien tego zapadłego kąta...

Ale, dowodząc sobie tego i lustrując urodę Wandy, przedstawiając sobie te oczy, które wilgotne od łez, podnosiły się na niego niedawno pełne smutku, kłopotu i słodyczy — tę kibić grbką i wysmukłą, układ razem królowny i najwdzięczniejszego, pełnego spokojnej prostoty dziewczęcia, które ogarnąć ramieniem i przycisnąć sobie do piersi, byłoby znaleźć się w raju. p. Roman uczył w sercu silnie tam gotującą mu się miłość. Słońce zachodziło właśnie; do Kałinowa jechało się lasami starymi i on raz pierwszy w życiu uczył się poetą i zaczął prawie marzyć, patrzył w dal leśną, jak gdyby z pomiędzy prostych, wysokich kolumn pni



Żołnierze w maskach ochronnych przed gazami trującymi.

sosnowych miała mu się ukazać Wanda i spojrzeć na niego łagodnie, skinąć rączką swą małą, a on by wtedy bez namysłu, szalenie, jak pierwszy lepszy chudopacholek wyskoczył z powozu i szedł za nią, szedł chociażby na kraj świata, o nic się już z nią nie targując, nie zarzucając jej nic...

W głębi las był podszyty zaroślami różnemi: leszczyną, trzmieliną, po której chmiel rzucał swoje festony, tworząc samorodne altany, a ognista kula słoneczna, zapadła właśnie poza temi gęszczami, i powietrze stawało się całe różowe od tej łuny zachodu, przejęte aromatami ziół leśnych, które wydobywała rosa. P. Roman wrócił też do domu w stanie, jakiego nie doświadczał jeszcze nigdy.

Przechodził z pokoju do pokoju swego obszernego, pustego dworu, a z każdej zacieni, które tworzył mrok, zbliżającego się już wieczoru, wychodziła do niego Wanda, występowała tęsknota serdeczna, to też on, który zaraz za wrotami porzeckiego dziedzica powieścił sobie, że zapewne nie wróci tu już nigdy, wrócił przecież bardzo niedługo — za kilka dni.

Kiedy już tracąc panowanie nad sobą, zaczął wchodzić w ugodę z przemożną siłą, której raz pierwszy ulegał, powiedział sobie, że przyjmując wiejską modę wizytowania się w święta, pojedzie do Porzecza nie prędzej, aż w niedzielę. Ale było to we wtorek, więc od widzenia Wandy oddzielało go całe dni pięć i — nie wytrzymał...

Przyjechał w sobotę, i już dość późno, bo do ostatniej chwili walczył ze sobą, aż naraz uległ czemuś, czego nie chciał sobie określać.

— Cóż u licha... — zawołał prawie głośno, zrywając się od biurka, do którego siadł dla przejrzenia jakichś rachunków gospodarskich — czyż jestem parobkiem, któremu nie wolno ruszyć się z miejsca, póki



Wilno z okolicą.



Car Wszechrosyi ze swoim adjutantem.



Bułgarski następca tronu Borys.



Król Ferdynand bułgarski.



Niepomyślność broni rosyjskiej wywołała zmiany w gabinecie rosyjskim. Także pozycja Goremykina jest zachwiana. Na rycinie tej przedstawiony jest moment, gdy przemawia on przed odjazdem z Petersburga do swoich zwolenników na dworcu



Wilno.



Czyszczenie karabinów w okopach pod Wilnem.

nie odrobi pańszczyzny?... I d'a czego mam się kłasić w domu, d'a śmiesznych względów polityki wiejskiej, abym nie wygładał na konkurenta? Człowiek nie jest wilk i potrzebuje towarzystwa, a to jest jedyny dom przyzwoity w okolicy.

Tam wszędzie indziej, bogdaj czy w dzień powszedni nie chodzą w łapciach... — dodał sobie z humorem, kłamanym d'a samego siebie i zadzwonił. Każe zaprzęgać.

W godzinę potem znalazł się w Porzecku i zastał Wandę sianą. P. prezesa, kobieta pod każdym względem praktyczna, gospodarowała na kilku folwarkach tak sprężysto, jak mężczyzna. Miała kalamazkę niedużą, którą dojeżdżała wszędzie, gdzie jej obecność była potrzebna i teraz właśnie znajdowała się na polach Porzeckiej Wólki, które podorywano i karczono bardzo ostrym słowem ekonomy, którego sen błogi zmorzył pod ośzowyim krzakiem.

Co to sobie Wasan nys i, że można darmo chlebać jesi!... — mówiła surowo w chwili, gdy p. Roman wchodził do pierwszego pokoju porzeckiego dworu.

W sobotę nikt na wsi gości się nie spodziewa, chyba by to był ktoś z powiatu za interesem urzędowym. Rano służba pofrotrowała wszystkie pokoje, dotarła do najmniejszego pyłku kurzu na każdym sorzecie i gzymsie, a teraz stary Jan, lokaj jeszcze z kawalerskich czasów nieboszczyka prezesa, wzięty niegdyś do kredensu na służbę wiejski chłopak z Porzeckiszek, a teraz coś w rodzaju marszałka domu, przerażony srebrną kredensją i nikt nie słyszał, gdy pan z Kałingwa zaechał, bo stangret, trzymający się nowożytnego obyczaju z białą nie palnął i z możliwą cichością zajechał po żywem wysypanej drodze przed stajnię a p. Roman nie zastawszy nikogo w sieniach, również bez hałasu drzwi pierwszego pokoju otworzył i posunął się dalej, gdy stając na progu drugiej komnaty — bawiałego pokoju, po za którym był dopiero salon, ujrzał Wandę samotną.

Była w skromnym, domowym ubraniu: w bluzce z białego perka'u w drobny rzut muszek czarnych, niela w pasie szeroką czarną wstążką. Siedziała na niskiej otomance, którą sobie ku otwartym drzwiom balkonowym przysunęła; ręce, z których wysunęła się jakaś robota, frywolity, snute dla ciotki na kołnierzyk,

czy czepek, opadły jej na kołana, a wyraz głębokiego smutku i jakby żalu do życia, że było tak ciężkiem i tak trudnem do znoszenia, odbijał się w regularnych, delikatnych rysach dziewczyczych, i p. Roman zatrzymał się na miejscu, przykuły urokiem tego widzenia.

A mógł mu się przyglądać do woli, mógł patrzeć i tonąć wzrokiem w tych wdziękach, w tej urodzie szlachetnej, które go oczarowały za pierwszym spojrzeniem i nie przestawały czarować nawet wtedy, gdy przeciwko niej bluźnił.

Ach! nie tylko oczy, nie tylko kibić, która teraz ułożyła się w linie jakieś leniwego znużenia, opuszczenia smutnego, nie mniej przecież, a może więcej niż kiedy powabne, wszystko było piękności najczystszej, śliczności najwdzięczniejszej. Usta: małe, pełne, podobne do pęku granatu, który ma się rozchylić, owal twarzy jak na obrazku, któryby przedstawiał Monnę Lię. nóżeczka drobna, jak u dziecka, wychylająca się z pod sukni — wszystko tworzyło taką całość, że poeta mógłby był nagle uklęknąć przed nią i zawołać: o! najcudowniejsza!...

P. Roman gotów był prawie postąpić tak samo, a'e Wanda podniosła w tej chwili z kolan opuszczoną rękę i on uczuł, że nie wypada mu pozostać dłużej tak zarczonym, tak podadającym ją s'rycie. Posunął się krokiem naprzód i ona go zobaczyła, podniosła się.

On szedł ku niej już też z upa'ającego wrażenia ochłodniewy, znowu e'eganci, młody pan'z, a'e nie mógł wytrzymać długo w tej roli. Za młody był na to i miłość zaczynała hurzyć w nim coraz więcej szar'ce niety'ko salonowych nawyknień. Nic jeszcze nie wiedział na pewno o stopniu adaptacji Wandy przez prezesa, a'e też i nie pamiętał o tem nic w tej chwili — zapominał, o wszystkim prócz tego, że Wanda była piękna, aż do tego stopnia, że stracił d'a niej głowę.

Ona nie okazała mu niczem niezadowolenia, z powodu, iż go widzi, bo też to, co czuła, nie było niezadowoleniem, ale raczej smutkiem.

Ach! — pomyślała — d'aczego on tu znów jest, pomimo tego, co mu powiedziała?

Zaczęła przypuszczać, że ten człowiek już ją może kocha i tak krąży w koło niej, jak motyl koło płomienia; więc ogarnął ją wyrzut sumienia, że przemówiła za późno. Niedoswiadczona, nie wiedziała, że właśnie to jej wyznanie, które ją tyle kosztowało, podnieciło uczucie p. Romana, że je rozdmuchało z iskry, która inaczej nie byłaby może zapaliła się płomieniem, albo nie tak prędko i nie tak silnie. Kobieta kocha inaczej, niż mężczyzna — kobieta, jeżeli nie jest za'otn'ca, kocha wtedy, kiedy Bóg spuści jej miłość w serce i kocha tak, na jaką moc uczucia ją stać. Mężczyzna — jeżeli to przypadkiem nie poeta — rozogniają, roznamietniają przeszkody, obojętność spotkania, i d'a'ego to kobiety zimne, a zyczne, które wiedzą o tem i umieją grać na strunach uczuć męskich, bywają kochane najsi'niej, najnamietniej, a najwięcej zawiedzionych, rozdartych serc niewieścich kryje się w piersiach tych, których miłość jest najgłębszą i najsta'szą — najszlachetniejszą, bo bez przynęt umiejętnego odpychania i przywabiania.

Wanda, nieświadoma tego: że wysoka, że czysta, aby się znała na tej sztuce przebiegłej, omyliła się i sprowadziła to właśnie, czego się lękała, czego chciała uniknąć...

Pan Roman był upojony jej widokiem, aż do zawrotu głowy. Potrzeba mu było koniecznie choć dotykać czegoś, co należało do niej i ustawicznie brał w rękę tę

książkę, która leżała na stoliku otwarta, więc była przed chwilą czytana, to robotę, którą odłożyła na bok, gdy gość wszedł, a która zdawała się tchnąć wonią heliotropów, których bukiet miała upięty przy staniku bluzki. Rozmawiali przy tem o rzeczach małoobojętniejszych, o deszczu i pogodzie, o przypuszczalnych urodzajach, a doszli z tego powodu nieobecności prezesowej w domu, do bytności w Porzeczyżkach. P. Roman pytał i odpowiadał, a oczy jego błędziły nieustannie koło Wandy; patrzył na jej włosy, na bukiet kwiatów, na suknię, która spływała w drapeżkach pięknych i wdzięcznych, a ręce bawiły się kłębkami bawełny, którą zwijał i rozwijał, aż ona wcale niewesoła, wcale wizycie jego nierada, rozśmiała się mimowolnie:

— Co pan robi z moją bawełną? — zawołała. — Poplątasz ją pan, na nierozplątalną...

Czy przy tym uśmiechu, który słodką jej twarz rozjaśnił, ukazała mu się cudniejszą, niż kiedy, czy ta ręka, która wyciągała się ku niemu po kłębek nici, stała mu nagłe na takiej zdradzie, pokusij nieprzewidywanej, że nie mógł przeprzeć pragnienia ujęć jej w swoje ręce — wstał, bawełnę na stoliku położył, a za to jej obie ręce pochwycił:

— Panno Wando! — zawołał cisnąć te biedne, drżące rączki w swoich dłoniach gorących — ja tak kocham, że mimo wszystkiego, coś powiedziała, milczeć nie mogę...

— Kocham i na wszystko się ważę... Kocham, jak nikt nie kochał nigdy silniej... — powtarzał, ręk jej nie puszczając i czyniąc ją w ten sposób niewolnicą, zmuszoną stać pod ogniem jego spojrzenia.

Zalęknioną była, przestraszona nawet w sposób bardzo bolesny. Rzecz spadła na nią tak niespodziewanie, przedstawiała się w takiej formie namiętnej, że obławał ją rumieniec, że drżała, jakgdyby ten człowiek, mówiący jej słowa tak gwałtownie, mógł ją porwać i zabrać sobie.

Pan Roman był wcale nie brzydki: czarnowłosy, pęci białej i rumianej, pociągłej, dość regularnych rysów twarzy, z czarną, lekko fryzującą się brodą, miał przytem duże oczy piwne, które teraz paliły ją jakimś ogniem płowym, gdy on sam zbliadł silnie ze wzruszenia, z namiętności. U ludzi jego natury miłość, jeżeli jest drażnioną myślą o nieważności, o kimś stojącym jej na drodze, wybucha prawie zawsze tak gwałtownie, bezwzględnie, ho płomień, który się w niej pali, jest egoistyczny. Gdyby między nim a Wandą nie było tej przeszkody, która ich dzieliła, a którą ona stawiała, jak mur nieprzebity, uczucie jego byłoby się objawiło w formie bardzo gładkiej i salowej — byłby jej powiedział, że ją kocha, biorąc ją delikatnie za rękę i ściskając zaledwie jej paluszki. Byłby doświadczył się prezesowej podobnie, z powagą spójną, trzymając się form przyjętych i Wanda może dopiero kiedyś, będąc już żoną, byłaby się dowiedziała, co to natura dzika, gdy podrażnioną zostanie, mieszka w tej piersi, pod gorsem koszuli szytej w Paryżu i zawsze iak śnieg białej, zawsze bez zarzutu gładkiej.

Teraz przeleciała go się prawie, ale trwało to zaledwie moment jeden. Oczy, które spuszczała pod jego palącym ją wzrokiem, podniosły się na niego, jak gdyby smutne i zadziwione, a lekki ruch w tył sprawił, że p. Roman puścił jej ręce, które cofnęła z godnością już spokojną.



Rosyjscy uchodźcy żydowscy powracają do swych siedzib

Jestem bardzo zmartwiona, jestem bardzo dotknięta tem, com od pana usłyszała — rzekła głosem tak poważnym i smutnym, jak były oczy. — Mówiłam z panem otwarcie, jak panny w moim wieku rzadko mówią. Kosztowało mnie to wiele, bo musiała sięgnąć do głębi serca i, otwierając je przed panem, dotknąć bolesnej jego rany, przecież uczyniłam to wszystko, aby nie była kiedy między nami chwila, jaką przeżyłam... Liczyłam, że mi ją pan oszczędzisz...

Ciąg dalszy nastąpi.

Anti-inteligent.

Wojenna humoreska.

Napisał

(LESŁAW P.)

(Dalszy ciąg)

Powadze burmistrza przyszedł z pomocą żona, doradzając mu iść przed pułkownika nie w butach, ale w sztybletach, na które Moskale nie łakomią się wcale.

Wzdychając, zaczął pan burmistrz naciągać na nogi sztyblety i nakazawszy dom pozanikać, wyruszył, poprzedzany przez aktora do magistratu.

W kurji dobczyckiej urzędował pułkownik rosyjski, który nie zdawał sobie sprawy z profanacji wszystkich dotychczasowych świętości dobczyckich. Na burmistrza wsiadł z góry i groził mu szubienicą, jeśli na przyszłość nie będzie przedzej przebiegał nogami, gdy pułkownik go wzywa, co go tak oburzyło, iż oczy wybaluszył na gwałtownika i nie mógł słowa wymieć w ustach. Rozumiał, że wojna i Moskale muszą na jakiś czas osłabić jego powagę, ale nie przypuszczał nawet, żeby jego osoba mogła zostać znieważona przez „ty” i przez szubienicę. To „ty” szczególnie dotknęło do żywego i obudziło w nim śpiące dotychczas pierwiastki opozycyjne, choćby nawet miał stanąć przed suchą wierzbą, bo byli świadkowie jego znieważenia, którzy kiedyś rozgłaszać będą, że burmistrz zniósł spokojnie „ty”, nazwanie miasta Dobczyce — morą a ich głowy — soltysem. Nie tak strasznym jest dzik, gdy zębem grozi wilkom, nie tak straszną jest teściowa, gdy w obronie córki miską wali w łeb zęcia, jak strasznym był burmistrz miasta Dobczyce, który postawił sobie:

albo śmierć twoja, albo moja, a tyki niech pamiętają, kogo mieli burmistrzem.

— Przedewszystkiem wbij sobie w łepetę moskiewska stupajko — zaczął z tragicznym spokojem pan burmistrz — że Dobczyce są miastem, że jego głowa nie jest sołtysem, ale burmistrzem i że ja, burmistrz miasta, nie jestem żaden „ty”, ale pan burmistrz! — Verstanden?

Zbledli obywatele miasta Dobczyce, przytomni tej niezwyklej scenie w historii mieszczaństwa polskiego, a pan Wałas zaczął już nawet wyobrażać sobie siebie jako burmistrza dobczyckiego.

Moskal zdumiał się, tak mu zaimponowała cywilna odwaga tyka, co jednak nie przeszkodziło mu zakrzyknąć na kozaków i wyspać głowie (o ile to można nazywać głową?) autonomii dobczyckiej 10 nahajów.

Pan Gados ani zipnął; prawdopodobnie było to zasługą dobrego odżywiania i jego flagmatycznego temperamentu. Spokój jego miał w sobie naprawdę coś uroczystego; pan burmistrz czuł, że godność jego ucierpiałaby, gdyby okazał ból, lub gniew. Był dumną ofiarą knuta, świadomą powagi chwili i losów miasta, którego był reprezentantem.

Do dziś dnia wspomina tę chwilę i żałuje, że inteligenci nie widzieli go wtedy, a nabrałiby zupełnie innego zdania o godności stanu mieszczańskiego.

A tymczasem pułkownik w sroku ordynaryjnych słów i epitetów wyrażał swe oburzenie na obywateli dobczyckich, którzy pozwolili i pomogli żołdatom unić się mimo jego zakazu. Wprawdzie Moskal wiedział, że to przekroczenie stało się niezależnie od woli mieszczań, gdyż właśnie przybiegł ze skargą pan asesor, że kozacy obrabowali go, upili się i wyrządzają breweryję, ale taka właśnie była jego metoda, mająca na celu nabicie mu kably.

— Za przekroczenie mego zakazu — zakończył pułkownik — macie mi do jutra wieczora złożyć 1000 koron, albo spale tę norę. Paszoł won!

Burmistrz postanowił go nie prosić, gdyż byłoby to poniżeniem jego osoby i bezowocnem. Wieść gminna rozniosła już po Galicji niewzruszoność Moskali na tym punkcie.

Po audiencji schronili się potentaci dobczyccy w cymbrze policyjnej, skąd wysłali polityanta no reszcie radnych; przerażeni posłuchali się i uchwalili po 10 koron kontrybucji na każdy dom, a liczyli, że około 100 domów jest w stanie złożyć tę ofiarę na ołtarzu miasta.

Przygnębienie i smutek padły na Dobczyce. Ale nikt tak nie cierpiał, jak burmistrz. Gdyby był kiedy w Krakowie i widział pomnik Mickiewicza na rynku, zrozumiałby, co to znaczy cierpieć za miłonną, ale pan Gados czuł wstręt do doświadczonej geografii, a wprawdzie do miasta powiatowego uważał za podróż do Ameryki.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Korrespondencja Redakcyi.

P. Lesław P. Oczekujemy niecierpliwie dokończenia. A możeby coś „fachowego” z dziedziny filologii, lub lingwistyki? Pozdrowienia od redaktora, patrz ostatnia strona.

Pi K. L. w Krakowie. Wysłaliśmy pod wskazanym adresem.

P. Julia P. w Sanoku. Prosimy o dokładniejszy opis.

PAWEŁ STAŚKO

Śmierć Legionisty.

Pani Waleryi Stanowskiej poświęcam.

„Tam zrom granatu rozdarł mu pierś młodą,
jak nierzaz piorun targa krzepkie drzewo...
Pod dębem runął w bagno z rdzawą wodą...
Bezsłownym kurczem ból skrzywił mu wargi
I jak kadzidło nie zemstę, ni skargi
Krwawych się piersi zadymiało trzewo...

I słońce gasło — i jego żrenice...
Mgła nieprześniwą je kryła zasłoną
I promień jeszcze całował to lice,
Które przed chwilą, jako Znicze święte
Ojczyzny młocą gorzało natchnioną!

I zgasło słońce... Napoły przymknięte
Oczy żołnierza jakby gnały jeszcze
Za oną zorzą, co ostatnie dechy
Wzięła mu z sobą z posocznej krwi gard'a
I dygocącej językowej wiechy...

Jakby przecucie ciężarne, złowieszcze
W onej się chwili rozlało wokół,
Jakgdyby duchy tych dwu słońc się ścimyły
Właśnie...

I groza do ziemi przywarła
Niby to niebo, co blask jeszcze więzi. —

Liść się dębowy oderwał z gałęzi
I spadł na krwawe bohatera czoło,
Jakk zapóźniony laur do... mogiły,
Albo-li cichy, nie majony wieniec
Zdobitą krzepnącą na twarzy rumieniec...
Jakoby duszy uchodzącej skrzydło
Z rozdartej piersi wznosiło się mglistą
Parą ofiarne, przeświecące kadzidło...
Niby zniszczenie kojarzone czystą
Duszą prawnuka, co słowa z kołyski
Brał po snuściźnie i w tałezmian spiżu
Skuwał od dziecka, aż ono się śnienie
W Czyn przemocarzy orędzie śląc błyski;
Półki ramiona na Ojczyznę krzyżu
Nie spojrzą nać, a z kurhannej leży
Nie wstanie Polska nowa — Wyzwolenie! —

Jak długich błagań ścicha głos pacierzy,
Jako mgła biała uniosła się w chramy
Dusza rycerza, by skrzydła krwawicą
Objąć Wszechstworcy tronowe podnóże!...

Oto my wszyscy z wiekową tęsknicą
U Twoich stóp się ojcowskich czołgamy,
Z tą krwią młodzińca i ziemią co gorze
Ogniem zaguby,
Zmłui się, Boże!...

Zaiste!

Mij dziś wierzymy, Panie,
Ze przez Cheruby
Ześlesz nam Zmartwychwstanie,
W on dzień Swobodny,
Wierzymy, Chryste!...

O śpij nieznany orle młody
Stracon z błękitów stałą kulą!
Niech jeszcze w świeżej cię mogile
Ta Macierz-Polska zbudzi młocę,
Niech cię uściśnie.. pieści.. tuli...

Przerów, 19. sierpnia 1915.